

Zbigniew „Ikona” Kresowaty

Zwierciadło

nienarodzonym

Delikatne dotyki na niebie
porywają kosmiczne statki
widziałem jak wślizgiwały się
do wózka po nienarodzonym
dziecku z imieniem Elf

migające kropelki snu wołają
za widzialną twarzą księżycy
ciepłe łupiny na mgle które wciąż
nic nie wiedzą o innym dniu – czekają
złożone z krzyczących ku niebu miłości
z niemych znaków płynących we krwi

Ty oczekujesz we mnie JA
– w tobie bardzo czekam
na delikatne dotyki które porwały
kosmiczne statki – widywaliśmy
wybuchy czekania na wieczności
jak dotykały niewidomej duszy
nawet wtedy gdy mieliśmy
oczy pozamykane na powiek
wieków są rzeczy dotykane palcem
bożym sensem logosu
są z góry ponazywane
choć i my mieliśmy ciała

Łabędziem być

na jeziorze zapomnianym
na obrazie nienamalowanym
być opływać swoją biel
w głębinie zapomnianych luster
opływać brzegi całym sobą cichym
nigdy nie stopnieć w ciszy
gdy przestrzenie wołają zostań!
choć z najgłębszych wód słysząc
szepc wołania -----
W ciągłym znaku zapytania trwać
jak opierzony biały wąż w zaroślach
czekać tam gdzie syczą krople krwi
widnieć tam gdzie huczy mróz
zanim ktoś płomienie zatrzyma
jedynym ponad opływać brzegi

– bo nic się nie dzieje
dryfować bezwiednie
jak w bieli

Kiedy ty śpisz

bo kiedy ty śpisz
masz twarz zwróconą
na spokojną stronę
widzę jak na falochron snu
zmarszcę siada ci mewa

to znów wznosi się i łowi z dużej fali
wiersze Owidiusza

kiedy ty spisz ja twój malarz
zapowiadam ci obrazy
a ty wznosisz się
ponad wielki Palatyn
i rodzisz tyle tyle

kiedy ty śpisz
jestem ciągle obecny
wciąż jak mały biały żagiel
na morzu jak w powiece

Jakby z Nirwany

całą noc malowałem
– Już poranek dzwoni na kościele
odbyło się poświęcenie pół
– chwila i zjawiłaś „Się” nagle
jak ikona z nieba bosko cicho
spadał nad ranem na parapet
dzień obnażył twoje loki i kibić
rozpromienił po domu pokładł
jak kolorowe pędzle na palecie
malowałem z okna na którym krzyż
ale ja witałem barwy z tobą
rozczeaną w śnie Marsjasz
nam grał na fagocie

wciąż patrzę nad Nirwanę
Marsjasz gra nam na flecie
rozbity dzban księżycy wychyla
się bledszym odcieniem na niebo
Jeszcze zdajesz mi się – a widzę patrzę
w Niby sen – dopala się testosteronem
i stos tactwa rozśpiewany nad domem
– w dali tli się katedra jak skrzydło
nad dachem unosi się jak dym
Wciąż snujesz mi ścieg myśł
– cienisz południe nicią złotą
– nie uchodzisz bledszą z powieki
– jeszcze wyglądam za tobą
przez ramę okna jeszcze
z otwartą dłońią obrócona
„jak się masz” – dziwnie biegnę za tobą
– jak za tylną szybą starego auta
– uchodzisz z obrazu

Jerycho

Nie zdążyłem ocalić Jeruzalem
stać mnie było tylko na pamiątki
wciąż nie do zdobycia te mury miasta
siedem otwartych Bram w które
tysiące lat dęli trąbici w różne ustniki
odjechali jedni a inni krzyżowali języki
zapomnieli tamci przestrogi sędziwych
ze znakami krzyży jeźdźcy najeżdżali po
złoto
wszyscy wiedzieli gdzie jest Arka Przymierza
ale nikt jej nie znalazł kopali wszyscy i święci
dlatego jej nie ma do dziś – dekalog już
zapomniany
nawet w blasku morza Martwego
rozkołysani szukali
Teraz Erynie wciąż nie dają spokoju
pyszałkom zuchwałym
– A tu wystarczy tylko uwierzyć

Przychodzi do mnie Czasem Kawafis

Z tamtych widm przychodzę
tutaj stanąć chcę jeszcze raz
chcę się ludzić jak w miłości
chcę się pieścić z widmami
jak łąza z powieki z sadzą spłynąć
na powieki popatrzeć
pobyć na oczach niespokojnych
– skoro tyłu patrzy nawet Erynie
– wielki zagłada w niszę tłum
niech stanę i ja zawsze gotów
nim zabierze słońce noc
przymierze kolorów pożegnałem
koniec to świtu czy koniec świata?
jakaś ogromna pieśń się niesie
ku nam tonący Palatyn jak Psalm
pieśń jakby o mężobójcach argejskich
Królu mój Pryjamie – wiem dobrze co
zwiastujesz dziś światu – tylko nie potop
bo nic już nie ofiaruję Nikomu jedynie widmo
NIC przy sercu mi nie zostało – to jedyna
z rzeczy tych co odpłynęły w mroki
za nas za sen w ciepłych niszach śpią
i położyła się spać ich moc – syczą
zza pleców cienie które dobija szepc
jakiś zdyszany umysł nieznany sztylet
dźwięk poraniony – czyżby to juz Glossa?
– wspominam tylko Aleksandrię

Uniesienie

koń to taki duży potulny anioł
zamknięty w kopalni marmuru
białośnieżny muskuł Herkulesa
krąży wewnątrz skał pręży się
weźmie rzeźbiarz dłuto i młot
poprowadzi wzrok do morza
światłne lata popłyną spod palców
i stanie biały koń przed kobietą
który wiekami biegł w skałach
koń Gabriel całym nawiedzeniem
całym snem niebios odkryje się

A dusza kobiety będzie się zanosić
wiadomością – powlecze łono nadzieją
i stanie się nawiedzenie – zawsze jest
jedynie gdy zjawia się Anioł nad kobietą
wdzięcznej miłości

Koń to taki duży potulny anioł – wyłonił się
już z bieli morskiej i obnosi się skrzydłami
stanie nad kobietą miłości – bo tylko Ona
zmyje z powiek sen żeby uwierzyć w siłę
jaką jej przyniósł tylko ten jeden raz



Zbigniew Kresowaty – Autoportret